

Księga wyjścia – 48

13 marca 2020

Ballada o pewnym marzeniu

Pięćdziesiąt sześć plam na suficie. Tyle ich miałem przed remontem. Teraz nie mam żadnej i życie straciło sens. Wcześniej mogłem je liczyć. Za każdym razem inaczej.



Od lewej, do prawej lub odwrotnie, z przodu, od tyłu, od środka i uważnie obserwować czy jakiejś nie przybyło, czy któraś nie zmieniła kształtu, koloru, w wyobraźni układałem z nich scenki rodzajowe, czasami nawet tworzyłem całe animacje, coś w rodzaju filmu, komiksu, obrazów, a czasami skupiałem się uważnie i dostrzegałem twarz. Był tam cały świat. I lasy deszczowe i Berlin nocą. Była Nigeria i Australia, prowincja Yunnan i Mongolia Wewnętrzna. Nawet obie Koree się kiedyś pojawiły. Często też układały się w twarz. Za każdym razem inną, ale zawsze była to ta sama osoba. To dopiero jest życie – tylko pozazdrościć. To był mój cały świat i jego najgłębsza i najpełniejsza – pełnia.

Teraz już mieszkanie mam odnowione, pomalowane i nie ma czego liczyć – sens życia prysł jak mydlana bańka.

Mogę, oczywiście mogę wyjść z domu, ale po co? Skręcić w lewo, w prawo? Zwykle robię rundę wokół bloku i wracam. Wracam i szukam nieistniejących plam, próbuję zasnąć, czasami się udaje, czasami nie. Jeśli się uda, to nie będę mógł spać w nocy, a jeśli zasnę to obudzę się o drugiej lub trzeciej nad ranem. To najpiękniejszy czas w ciągu doby.

Nie wiem dlaczego, ale już o ósmej znowu szukam plam. Co jakiś czas dopada mnie szal pisania, wtedy przestają liczyć się plamy na suficie, jeśli jest to książka to wskazuję w zupełnie inne życie. Nabieram energii i oprócz pisania jestem w stanie robić wszystkie te czynności, które przerastały mnie chwilę wcześniej.

Tak wygląda życie człowieka uprawiającego wolny zawód, ze znikoma ilością zleceń, człowieka przegranego, samotnego i zagubionego. Czyli człowieka „born In the PRL”, który nie odnalazł się w realiach życia po przemianach. Urodzonego, wychowanego i wykształconego w innym systemie, a żyjącego w skrajnie odmiennych warunkach. Jest taka piosenka Brusa Springsteena „Born In the USA”, w powszechnym przekonaniu jest to patriotyczna pieśń o dumie z miejsca urodzenia. Tak naprawdę piosenka ta powstała jako protest song i miała być hymnem zawiedzionych i oszukanych mieszkańców tego kraju. Pieśnią buntu niezadowolonych pauperyzacją, spadkiem poziomu życia, wszechogarniającym kapitalizmem i kroczącym imperializmem. Widać to zresztą na teledysku, gdy idzie przez opuszczoną, pełną latających śmieci dzielnicę – wygląda na Detroit. Mimo, że sztuka miała inny sens, a artysta inny przekaz, to publiczność odebrała ją zupełnie inaczej. Sam też tak o niej sądziłem, do momentu gdy trafiła mi się jakaś książka, w której przewija się geneza tego utworu. Wtedy zagłębiłem się w jej słowa. To dowodzi, że ludzie – w tym i ja – nie słuchają tekstu, nie rozumieją treści, jedynie melodia i przekaz obrazowy, czyli teledysk, który też nie spełnił swojej roli.

Nie wiem czemu zacząłem od Springsteena, ale wiem dlaczego

zacząłem od tych plam. Tak zaczynają się depresje, nałogi, ale przede wszystkim dowodzi to, że zatraciliśmy umiejętność nawiązywania żywych relacji. Zwykłych, analogowych relacji z drugim człowiekiem. Cyfrowo potrafimy nawiązywać nowe znajomości. Na „Facebooku”, „Instagramie” czy „Twitterze”, mamy znajomych do jasnej cholery, ale w realu jesteśmy sami, z roku na rok coraz bardziej, coraz mocniej. Sami, samiuteńcy, samotniejsi. Zamiast pukania do drzwi, słyszymy dźwięk wiadomości. Staliśmy się smart-ludźmi. A co najgorsze, zupełnie nie radzimy sobie z pandemią osamotnienia. Straciliśmy odporność. Już nie potrafimy poznać się poza Internetem, chyba, że będzie to relacja zawodowa, która przerodzi się w znajomość, a potem jakąś „paraprzyjaźń”. Nie piszę przyjaźń, bo zwykle gdy ludzi połączą relacje zawodowe, to nawet zażyła znajomość będzie miała podtekst biznesowo-zawodowy i gdy rozbiegną się interesy firm, to automatycznie rozpadną się „paraprzyjaźnie”. Oczywiście, zaraz pojawią się nowe, ale już wiemy jakie są trwałe. Nasze prywatne życie, zależy od właścicieli firm dla których pracujemy. Smutne to i prawdziwe. Podobnie jest w parazwiązkach, nie we wszystkich i nie będę tego analizował, bo jest to bardzo bolesne.

To jednak tylko wstęp do pewnego pomysłu, który przewinął mi się podczas oglądania pewnej relacji. A zaczęło się tak: Jednym z moich ulubionych miast – jest Wrocław, nawet chyba nie jednym, a ulubionym. Może ze względu na odległość tak sobie je wyidealizowałem, bo gdybym mieszkał w nim na stałe, to zmieniłbym zdanie? Niewykluczone. Oczywiście uwielbiam Warszawę, Gdańsk, Poznań trochę mniej Kraków, ale Wrocław ma w sobie jakiś ładunek magii i twórczej energii. Być może patrzę trochę przez pryzmat sentymentu „Pomarańczowej alternatywy” z lat osiemdziesiątych. Wtedy, to naprawdę było „coś”. Ale nie tylko.

Miasto jest urzekające i naprawdę nie sposób mu się oprzeć. Nawet słynne krasnale nie popsuły tego wizerunku. Z całą pewnością odległość ma znaczenie, bywam tam średnio raz na

dwa, trzy lata, więc resztę mojego pobytu w tym mieście wypełniam sobie wyobraźnią, a do niedawna plamami na suficie, które układałem w jego uliczki, osiedla, a nawet mieszkanie z widokiem na lokalny bazar. Jakby jednak pięknym nie był, z pewnością są tam osoby, które też mają swoje pięćdziesiąt sześć plam na suficie. Zupełnie przypadkiem – zaplanowanym przypadkiem (oksymoron celowy) – trafiłem na filmy pewnej wrocławskiej blogerki literackiej – „Czytam duszkiem” czyli Katarzyny Chmiel. Ponieważ recenzowała moją książkę, byłem ciekaw co ma do powiedzenia i kim jest człowiek, który oceniał moją twórczość. Film nagrała z okazji jakiś wyborów do jakiejś instytucji, która zajmuje się lokalną kulturą.

Usłyszałem pewną historię, która mnie klepnęła. Klepnęła tak mocno, że muszę o niej napisać. Ponieważ zarówno kongres jak i same wybory zostały odwołane mogę spokojnie pisać, bez posądzenia o kryptoreklamę. Z drugiej strony jeśli ktoś ma naprawdę dobry pomysł, to czemu go nie wesprzeć i nie reklamować? Oczywiście to zawsze będzie subiektywną oceną piszącego, czy pomysł jest warty promocji, czy też nie. Jeśli podjąłem się napisać, to naprawdę głęboko to przemyślałem, ponieważ można zrobić krzywdę powierzchowną oceną. Wyeliminować geniusza, a wsadzić miernotę, bo na pierwszy rzut oka, fajniej się ta miernota prezentowała. Tym razem jednak to przemyślałem, chociaż to jest już bez znaczenia, ponieważ jak wspomniałem wybory odwołano.

Oby wszystko się unormowało do maja, do gali plebiscytu na książkę roku czyli – „Brakującej litery” – której „Dziennik Trybuna” jest medialnym patronem. A dzisiaj ja zostanę samozwańczym i niezależnym medialnym patronem kandydatki w wyborach, których nie będzie. Przynajmniej na razie. Kandydatka jeszcze o tym nie wie, ale ma patrona – autora felietonów „Księga wyjścia”. Patron – z rosyjskiego pocisk, nabój – taka dygresja, coś generalnie destrukcyjnego, ewentualnie eliminującego wrogów. Przepraszam, już wracam do zapowiedzianej historii. Włączyłem więc sobie film na jej

blogu chcąc zobaczyć „na żywo” kto recenzuje książki, kto recenzował moją. Zobaczyłem kobietę, w oczach pasja mówiąca, a nawet krzycząca – wiem czego chcę, w głośniku słychać jak zaczyna opowiadać. Przytoczę ją tak jak zapamiętałem.

Na jednym osiedlu mieszka pani Jasia. Potrafi piec wyśmienite babeczki, od kiedy jednak została sama – w domyśle owdowiała, nie ma dla kogo tego robić, nie ma osoby dla której warto się starać. Przecież to oczywiste, że dla siebie robi się co najwyżej kanapki. Na tym samym osiedlu, albo w tym samym bloku mieszka kilkoro zapaleńców nieba. Nie, nie w sensie religijnym, tylko młodzi miłośnicy astronomii, a konkretnie Galaktyki Andromedy. O gwiazdach, planetach, meteorytach wiedzą wszystko, trochę mniej, ale też co nieco o czarnych dziurach, wiedzą że Galaktyka Andromedy coś tam już wchłoneła i że jest taką galaktyką agresywną, pożerającą sąsiadów. Wiedzą dużo o Syriuszu, o afrykańskim plemieniu, które twierdzi, że są to trzy gwiazdy obok siebie. Co już potwierdzili naukowcy. Mają ogromną wiedzę, ale jedynie z książek, bo są zbyt młodzi, by mieć dostęp do profesjonalnych miejsc obserwacji, dostępnych choćby dla studentów. Mieszka tam również Marcel, miłośnik przyrody i kochający właściciel psa, kota i pięknego akwarium. Znają się z widzenia, być może nawet się pozdrawiają. Ale nie wiedzą o sobie nic. Zrzędzeniem losu spotkali się wszyscy przy babeczkach pani Jasi. Zaczęli rozmowę. Okazało się, że Marcel, który mieszka na trzynastym piętrze, dorobił sobie klucz od kłódki na dach i ma świetne miejsce obserwacji nieba. Umówili się więc na kolejną imprezę na dachu. G, w świetle gwiazd miłośnicy Galaktyki Andromedy opowiadali i ciałach niebieskich, teoriach kosmicznych, krzywiźnie czasoprzestrzeni, Marcel nieśmiało wspominał, że pisze sobie do szuflady różne rzeczy. Poezje, prozę, dramaty. Spontaniczna decyzja, wystawiamy sztukę. Podzielili role, nauczylili się ich na pamięć i zaczęły się schody. Gdzie ją wystawić?

Tu autorka mi zaimponowała swoją kreatywnością, zaproponowała,

by w pierwszej kolejności przejrzeć miejskie zasoby. Pracowałem kiedyś (moja pierwsza w życiu praca) w Osiedlowym Domu Kultury – jakiś czas byłem nawet p.o. kierownika tej placówki. Dlatego wiem, że zawsze jest jakieś zapomniane pomieszczenie, które służy za schowek na wszystko. A jeśli nie ma, to na początku można się porozumieć z kierownictwem czy dyrekcją by w określone dni udostępnił jakąś salę. Mało tego, nawet dadzą zamykane szafki, żeby przynieśli własny czajnik, ekspres do kawy czy co im potrzeba. Chłopaki z Galaktyki muszą gdzieś chować tablicę z atlasem nieba. Czyli na początku przegląd – mówiła Katarzyna Chmiel – już w zupełnie innym anturazie, jakby wróciła z poszukiwań. Miejskie i osiedlowe biblioteki, szkoły, OSiRy – wszędzie tam znajdzie się kawałek podłogi, by grupa, przypadkowo zebranych ludzi znalazła swoje miejsce. Pani Jasia czuje się trochę jak starsza siostra, trochę jak rówieśnica, oczywiście młodzież nauczyła ją posługiwać się komputerem i wymieniła już swój stary telefon, na szybkiego smartfona. Teraz żadna krzyżówka nie jest dla niej problemem.

Po jakimś czasie może uda się namówić kogoś z teatru, tego przez duże „TE”, by wpadł na pokaz i babeczki. Przy okazji pani Zosia przygotowała wystrój, od lat haftuje, ale nie ma komu pokazać. Wzory ludowe i nowoczesne, inspiracje własne i zapożyczone z prasy. Możemy zapytać, no dobra, ale jeśli jest już ten pomysł, to jaka jest rola jego autorki. Wymyśliła, jeśli chwyci, to już polecą samo. No właśnie nie, nikt nie będzie rozmawiał z nastolatkami czy panią Jasią o nieodpłatnym użyczeniu pomieszczenia, nikt bez odpowiednich narzędzi, kompetencji nie będzie w stanie przejrzeć tych zasobów. Ale najważniejsze, ktokolwiek z dyrekcji jakiegokolwiek teatru, już na poziomie pierwszej sekretarki wyrzuci zaproszenie do kosza. Co innego, gdy zaproszenie wyjdzie od namaszczonego władzą członka Rady Kultury. Które działają z upoważnienia i na zlecenie władz miasta i jego Prezydenta. Nie tylko Wrocławia. Tekst wyborczo jest nieaktualny, ale społecznie jak najbardziej. Dotyka palącej potrzeby. Potrzeby bliskości.

Dlatego postanowiłem o tym napisać. Żeby pięćdziesiąt sześć
plam na suficie nie stało się synonimem sensu naszego życia.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info